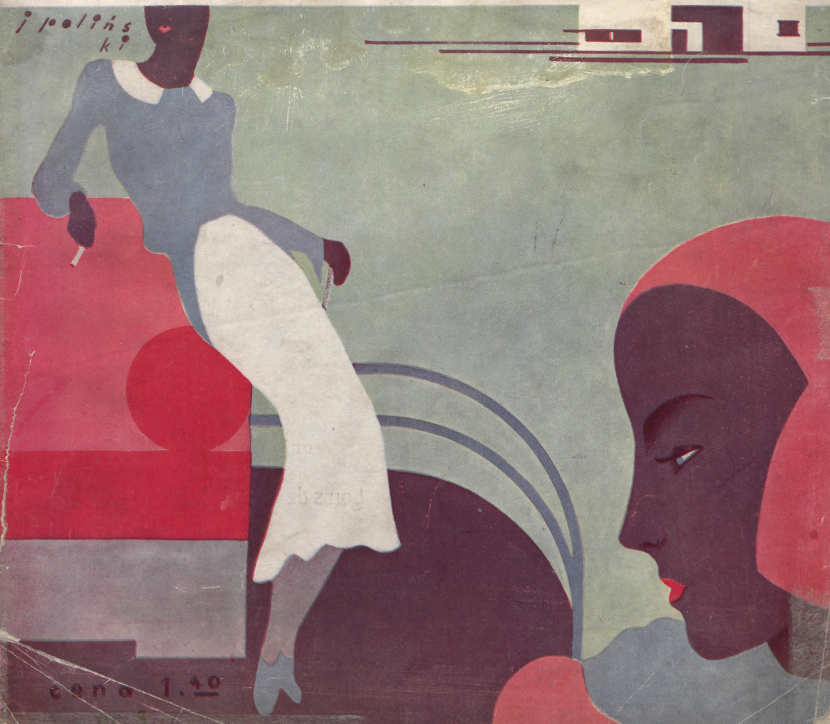
TEATR

i życie wytworne





Drukowano na papierze kredowym Tow. Akc. J. Franaszek, Warszawa

TEATR I ŻYCIE WYTWORNE

ROK IV — CZASOPISMO ILUSTROWANE — № 3

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, MARSZAŁKA FOCHA Nr. 2. TELEFON 525-85 i 72-85.



P. Andrée Corcoran, małżonka konsula Stanów Zjednoczonych A. P.


WSZELKIE OBUWIE DLA RODZINY!
Chcemy na naszej nowej placówce jak najlepiej służyć publiczności.
Nasze ceny są przystępne i stałe.
Chcemy, aby każdy kupujący miał do nas pełne zaufanie i aby był zadowolony z swego zakupu.
Zł 29.90
Bronzowy i czarny półbucik wykonany z wyborowego boksu. Podeszew i obcasy z wulkanizowanej gumy.
Najodpowiedniejszy dla ludzi pracy. Wygodny ten trzewik nie obciąży Waszej kieszeni.
Zł 29.90
Eleganckie czółenko lakierowane na hiszpańskim obcasie. Niezbędne dla każdej pani bywającej w towarzystwie.
Zł 34.90
Sportowy półbucik modnego kroju i fasonu „Derby". Wyrób z specjalnego cielęcego boksu w kolorze sunburn. Perforacja fantazyjna. Modny szeroki fason czyni go odpowiednim i wygodnym do noszenia na dłuższe spacery.
Zł 16.90
Fantazyjnie ozdobiony pantofelek dla młodych elegantek, przybrany imitacją wężowej skóry. Młode eleganki, którym rodzice jeszcze ich nie kupili, zazdroszczą takowych swoim koleżankom. W dwóch wykonaniach.
Zł 36.90
Elegancki bronzowy półbucik pasowy z p-a cielęcego boksu. Fason angielski „Golf". Fantazyjnie wykonana obsada. Odpowiednie na spacery do sportowego ubrania.
Zł 34.90
Spacerowe czółenko zamszowe na wysokim obcasie. Elegancka kombinacja z lakierem. Nasze specjalne spinki ozdobne nadają się do ich upiększenia.
Zł 34.90
Bardzo modny wygodny pantofelek spacerowy na amerykańskim obcasie z gumą. Trwały i praktyczny do nabycia w różnych odcieniach. Obsada ozdobiona przybraniem ciemniejszem.
Zł 24.90
Czarny lakierowany pantofelek dla młodej panienki na niskim obcasie. Wyrób z trwałego laku na skórzanej podeszwie. Nadzwyczaj praktyczny w noszeniu.
Zł 36.90
Elegancki i praktyczny bucik czarny. Wykonany solidnie z p-a cielęcego boksu. Fason półwydłużony.
Zł 29.90
Czarny lakierowany pantofelek. Cieszy się wielkim popytem. Śliczny krój i jakość wykonania znany naszej klienteli. Najodpowiedniejszy dla dobrze ubranej pani.
Zł 14.90
Praktyczny i tani pantofelek z najlepszego czarnego prunelu na słupkowym obcasie.
NN 27-30 Zł 19.90
„ 31-35 Zł 24.90
„ 36-38 Zł 29.90
Półbucik dla młodzieży. Obsada z bardzo dobrego cielęcego boksu. Podeszew z pierwszorzędnej skóry bardzo praktyczne i trwałe w noszeniu.
W naszym magazynie prowadzi się także obuwie w półnumeracjach, jak również w trzech szerokościach. Dobieramy dla każdego najodpowiedniejsze obuwie stosowne do nogi, po poprzedniem fachowem stwierdzeniu dokładnej miary. Gust klienta jest dla nas miarodajny.
Obuwie nasze sprzedaje się na całym świecie. Szczycimy się zaufaniem miljonów osób, które przekonały się iż towar u nas zakupiony był i jest pełnowartościowy. Odwiedzajcie nas, chcemy pokazać szerszemu ogółowi doskonałe obuwie pierwszorzędnej jakości przepięknych fasonów obecnego sezonu.
Zł 39.90
Pasowy bronzowy i czarny półbucik najnowszego wiedeńskiego fasonu. Wykonanie z najlepszego cielęcego boksu a podeszew specjalnie z pierwszorzędnej skóry.
Zł 34.90
Pantofelek modny z najlepszego cielęcego boksu. Obsada ozdobiona odcienionemi kombinacjami. Barwne naszycie u boku ostatni krzyk mody. Wykonanie w różnych kolorach.
Zł 22.90
Atlasowy wieczorowy pantofelek wykonany z trwałego surowca. Bardzo lekki, nadaje się specjalnie do tańca. Na życzenie kolorujemy ten pantofelek stosownie do każdej sukienki.
NN 27-30 Zł 16.90
„ 31-35 Zł 19.90
„ 36-38 Zł 24.90
Dla młodzieży szkolnej buciki sportowe. Podeszew z indyjskiej gumy najlepszego wykonania.
Zł 39.90
Gustownie ubrany Pan zawsze nosi w teatrze, do tańca i wizyt półbucik lakierowany. Lakierki te także nadają się doskonale do ciemnego ubrania i do biura. Czyście białą pastą za pomocą naszych flanelek.
Zł 34.90
Bardzo bogato ozdobione pantofelki z nubuku i lakieru. Wykonanie w różnych kolorach. Obcas słupkowy. Odpowiednie do noszenia na spacery i przechadzki wiosenne. Wygodne zapięcie za pomocą sprzączki.
Zł 12.90
Białe pantofelki rypsowe na wysokim hiszpańskim obcasie. Wierzch ozdobiony jednokolorową piękną lamówką z skóry. Lekkie i wygodne do noszenia w pogodne dnie wiosenne.
Zł 9.90
Letnie kalosze damskie w kilku kolorach, dające się przystosować do każdego modnego ubioru. Nosząc nasze letnie kalosze podczas deszczu, zapobiega się przeziębieniu.
Pewni jesteśmy, iż po obejrzeniu obuwia na miejscu, zawsze z wielkiem zaufaniem dokonacie Waszego zakupu u nas w magazynie, otworzonym dnia 3 Kwietnia 1930 w Warszawie, ul. Marszałkowska 138.
Jest to największy w Warszawie magazyn obuwia najodpowiedniejszego dla Was pod względem jakości a przytem najmodniejszego.
Polska Spółka Obuwia Bata Spółka Akcyjna.

Miejsce zarezerwowane
dla ogłoszenia samochodów
FORD



Generalna Reprezentacja na Polskę i w. m. Gdańsk: **D/H. JÓZEF HOSIASSON, Warszawa, Trębacka 4.**

Teatr i Życie Wytworne.

ROK IV CZASOPISMO ILUSTROWANE № 3

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, MARSZAŁKA FOCHA Nr. 2. TELEFON 525-85 i 72-85



Znakomita artystka p. Marja Przybyłko-Potocka, której doskonała reżyserja „Domu Kobiet" spotkała się z ogólnem uznaniem krytyki

Fot. St. Brzozowski

5

ANTONI BOGUSŁAWSKI

TAJEMNICA STARYCH MURÓW

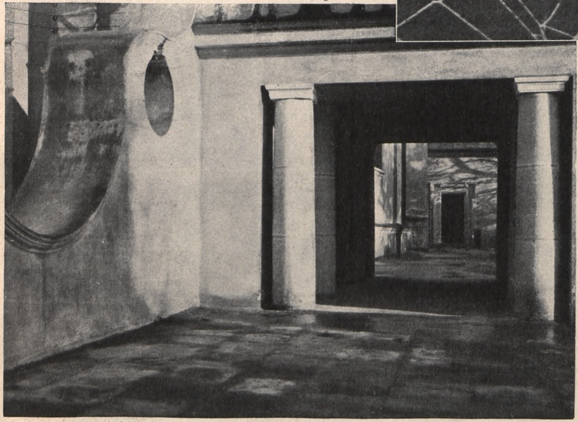
Po odwiecznych zaułkach, wśród krętych i wąskich ulicach, starych miast, w załomach zmurszałych murów — błąka się jakaś tajemnica. Tai się jakiś duch, błądzą jakieś echa. Skołatane szalonem tętnem współczesnego życia nerwy tulą się chętnie do stóp omszałych głazów, lubią bluszcze i chmiele, które po nich bieżą, szukają sobie wypoczynku w ciszy nastrojowej. Cóż się w tych ulicach dzieje?—Rankiem biegnie dziatwa do szkoły, roześmiana, rumiana — i ten żywy kontrast ożywia na chwilę stare mury. Stukają po nich chodaki robotnicze, drobny rytm wybijają obcasiki panienki ze sklepu. I znów cisza. Czasem przeciągnie wycieczka, do starych murów pielgrzymująca, padnie kilka zdań głośniejszych, ale nastrój robi swoje. Gwarna gromadka ucicha, może tęsknić zaczyna, a może—myśleć. Myśl musi uciec od czasu do czasu z kołowrota przyziemności życiowej, musi poszukać wypoczynku. Kto wie, może tą siłą tajemniczą, co w starych murach drzemie, jest właśnie — wypoczynek?...

Bo czemuż emeryci, ludzie, którzy z prądami wiecznie od nich uciekającego życia rozbrat wzięli, chronią się w cień starych murów? Prawem kontrastu powinniby raczej szukać gwaru, znamionującego życie? Och, nie! Wszystko ma swój kres i wytrzymałość nerwów ludzkich — również. Przychodzi chwila, w której trzeba się jakby szykować do snu. Do snu, który — zazwyczaj — też kamień pokryje.



Fot. Dr. Wieczorek

Pająk



Jeden z zabytków Częstochowy.
Do tych odwiecznych zaułków, do załomów zmurszałych murów, tulą się chętnie nerwy skołatane szalonem tętnem współczesnego życia.

Ale melancholja starych murów nie jest malancholją grobów i cmentarzy. Tam — widzi się odwieczny, nieuchronny koniec wszechrzeczy. Tu — widzi się zgrzybiałe ojcostwo tego, co pędem niepohamowanym uciekło w przestrzeń, rozrosło się, wylało po za stare mury. Wokół każdego starego środmieścia zazwyczaj kipi życiem miasto nowe. Oślepia koljami świateł elektrycznych, biegących po ścianach wielkich domostw, ogłusza klaksonami samochodów, syrenami fabryk i gwarem, gwarem, niemilknącym gwarem. Stary pradziad drzemie w cieniu kościelnych wież, a tam młody prawnuk bierze się z życiem za bary. Im mocniejsze są



Kraków — ul. Kanoniczna

stare mury, im tężej budowane, im bardziej opierają się niszczącej fali czasu, tem większa nadzieja, że i nowe życie głęboko korzeniami uchwyci się rodzinnej ziemi. Tem pewniejsza moc tradycji, która warunkuje ciągłość pracy. I dla starego pradziada tem większa pewność, że go wandaliskie ręce nie zniszczą.

Podziwiałem kiedyś pieczołowitą konserwacje starorzymskich budowli we Włoszech i Francji południowej. Na miejsce zetlałych głazów wstawiane są nowe. Przylegają mocno do starszych współbraci, zlewają się z nimi w jedną całość, patynują pod jednem słońcem, jednym deszczem. Może nadejdzie czas, że w majestatycznej Porta Romana nie będzie ani kamyka nowoczesnego. Ale zostanie niezniszczalny kształt i zostanie patyna. To jest symbol uczczenia wieków, z których się idzie.

Podziwiam dziś codzień nasze stare mury. Rozkoszą oczu moich jest widzieć je zrana, kiedy różowieją w przezroczystym blasku warszawskiego przedrania. Cieszę się ich opalizującym, pawim i gołębim tonem o zmroku, gdy noc dopiero pierwszy ton swój kładzie na powietrze. Dachówki mienią się wówczas w plamy przedziwne, a wszystko naokół zdaje się w oczach drgać. Sygnaturka katedry podzwania srebrzyście, jak gdyby poruszana tem właśnie drganiem.

Jakiś jeszcze ostatni promień spadnie ukośnie na płyty Kanonji.

I wtedy, jak drugi promień, z wież, balkonów, wykuszów i poddaszy poleci nadół świetlista struga gołębi, czyniąca ostatni lot swój przed snem.

Fot. [illegible] Wieczorek



Kraków — kościół Kapucynów,
w reprodukowanym fragmencie nasuwa reminescencje
egipskiej sztuki architektonicznej

«DOM KOBIET»,

sztuka w 3-ch aktach Zofji Nałkowskiej w Teatrze Polskim

Przeciętnie inteligentny widz, wybierający się na nową sztukę do teatru i chcąc zgóry urobić sobie pewne pojęcie o wystawionej nowości, sięga zazwyczaj do źródła autorytatywnego, do fachowej krytyki. Akt taki ma zazwyczaj charakter raczej praktyczny. Ot, poprostu, widz chce się upewnić, czy na daną sztukę «warto, czy nie warto iść» i tyle. To też z krytyki wyławia, co najważniejsze: trochę treści, imiona, nazwiska i ocenę gry.

Wszystko jest w porządku do czasu, gdy taki widz uznaje stale jeden i ten sam autorytet krytyki, lecz biada mu, gdyby się zainteresował tem, co o danej sztuce mówi przedstawiciel innego odłamu prasy, lub kilku. Czeka go niechybne szaleństwo, a conajmniej teatrowstręt.

Żywym tego przykładem jest opinja recenzentów o «Domu Kobiet», Nałkowskiej. W poszukiwaniu analogij, wzorów, prawzorów i źródeł, nasi sprawozdawcy teatralni pobili rekord w iście amerykańskim stylu. W sztuce Nałkowskiej jeden upatrywał podobieństwo do dramatów Czechowa, drugi do Gorkijego, padały nazwiska Jewreinowa, Wyspiańskiego, Ibsena, Maeterlincka, wspomniano o «Rosmersholmie». Istna wieża Babel. Czem zawinił biedny widz, który w takich okolicznościach zostaje całkowicie zdezorjentowany, czem zawiniła pani Nałkowska, że słuchacz jej sztuki, która stała się rewelacją nowego, świetnego talentu pisarskiego, idąc do teatru, ma głowę nabitą Ibsenami, Gorkijami i Jewreinowymi?

Czy sztuka pani Nałkowskiej sama w sobie nie jest arcydziełem, czy taka jaką jest, nie mogłaby służyć, jako wzór oryginalnej koncepcji.



Honorata Leszczyńska

Fotografje: St. Brzozowskiego



Stanisława Słubicka

Jeżeli powołanie się na nazwiska dawne ma niejako potwierdzić słuszność przytoczonych wywodów i wniosków, to tym razem trud był zbędny.

Sztuka Nałkowskiej, to nowe światło w przyciemnionej już naszej twórczości teatralnej, a «między jednym krytykiem, a drugim», trawestując słowa babki z «Domu Kobiet», «jest ciemność»... Sztuka Nałkowskiej, która choć przy zachowaniu starych form scenicznych, wkracza w dziedzinę nowoczesnego stosunku do rzeczywistości, w której kośćcem jest przeszłość, zrozumie każdy. Wystarczy oddać się biernie nastrojowi, idącemu ze sceny, jak z zaczarowanej krainy przedziwnych dla nas zjawisk.

«Wszystko jest wciąż inne», rozumuje babcia. To też każdy rozumie sztukę po swojemu i w kontemplacji doznaje wielkiego wzruszenia duchowego, bo wszystko w niej jest ludzkie, logiczne i przekonywujące.

Urok widowiska podnosi jej wyjątkowa obsada: p. Barszczewska, kamejowa postać, jakby ożywiony, przedziwnej piękności portret, który wyszedł z ram, p. Leszczyńska, żywa, ruchliwa, przemiła i z wielkim kunsztem zagrana Julja, p. Przybyłko-Potocka, kreacja Joanny, z majestatycznym spokojem obnosząca głęboko swoją straszną tragedję, p. Siemaszkowa, jej matka, arcydzieło wirtuozowstwa scenicznego, pp. Kamińska i Lubieńska, doskonałe w rolach młodszego pokolenia.

Czy znajdzie się teatr w Europie, który mógłby się poszczycić taką obsadą, takiemi artystkami, takiem wykonaniem?

Pani Przybyłko-Potocka, poza swoją kreacją aktorską Joanny, zadebiutowała w roli reżysera i wstępnym bojem zyskała sobie najwyższe uznanie. Jej praca nacechowana jest wielką kulturą i znajomością techniki scenicznej.



Karolina Lubieńska



Mila Kamińska

Należy mieć nadzieję, że niebawem danem nam będzie znów zapoznać się z jej pracą w tej dziedzinie. Słowem, widowisko zakrojone jest na najwyższą miarę artystyczną i bez żadnych «ale» możemy z niego być dumni.

(m. s.)



P. W. Siemaszkowa



P. W. Barszczewska



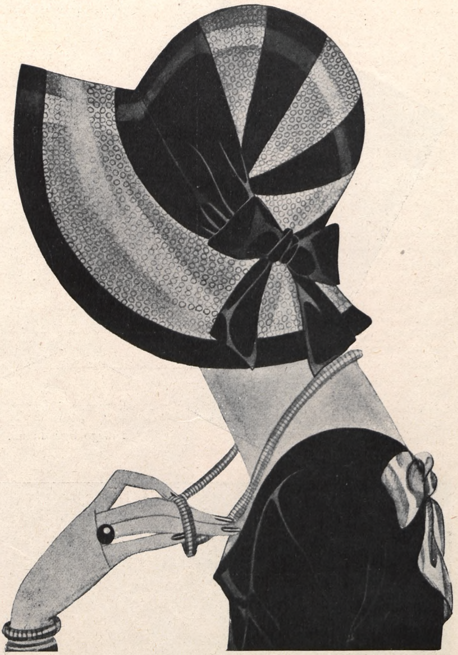
Świetni odtwórcy „Domu Kobiet" wraz z autorką p. Z. Nałkowską

Fot. St. Brzozowski

KLEJNOTY

Jeżeli istnieje w fantastycznem państwie królowej mody, jakakolwiek wartość nieprzemijająca i niezmienna — są niąniewątpliwie klejnoty. Niezależnie od kaprysów mody, każdy prawdziwie wartościowy klejnot ma swoją stałą cenę, co do której możliwe są nieznaczne zaledwie odchylenia. Dlatego też niejeden mąż chętniej ofiarowuje żonie bransoletę, niż toaletę, uważając tę pierwszą za wcale niezgorszą lokatę kapitału.

Zdarzało się przecie, że ci co uciekając od rewolucji i wojny wywozili pieniądze — przywozili ze sobą kupy bezwartościowych papierów. Klejnoty natomiast były walutą niezawodną, wszędzie cieszącą się jednakim popytem. Klejnoty natomiast były walutą niezawodną, wszędzie cieszącą się jednakowem popytem. Szczęśliwcy, którym udało się uratować biżuterję żon, w najmniej gościnnych obcych krajach, zabezpieczeni byli przed chłodem i głodem.



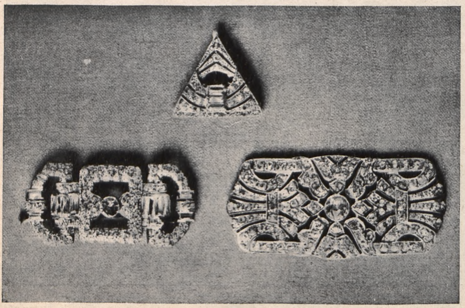
Ponieważ wielu było takich, których wojna i bieda powojenna zmusiła do zamiany klejnotów, na możność życia i mieszkania — piękna biżuterja była u nas po wojnie tak rzadka jak żubry w puszczy Białowieskiej. Zamiast szlachetnych kamieni noszono pretensjonalne i bezwartościowe imitacje, ochrzczone mianem biżuterji «artystycznej» lub «modnej», gdyż miano «fałszywa» nie chciało żadnej z właścicielek przejść przez usta.

Wraz z powrotem do przedwojennych norm, do życia komfortowego i wystawnego, wraca szlachetne umiłowanie klejnotów. Stają się one nietylko najpiękniejszą ozdobą stroju, lecz i symbolem dobrobytu. Budzą szacunek.

Moda współczesna, moda sukien o linjach prostych, niczem nieprzybranych, zdaje się stwarzać wymarzone tło dla pięknej biżuterji. Ciemne, niczem nie rozświetlone obramowania dekoltów, zdają się wołać o blask brylantowej broszy, lub łagodnie mieniącą się biel perłowego sznura. Żaden kosmetyk nie jest w stanie tak podnieść kobiecej urody, jak tęczowe, załamujące się w świetle elektrycznych kinkietów, promienie wspaniałych butonów.

Kolorowe kamienie nie znoszą mięszania ich razem. Perły i brylanty można nosić z każdą biżuterją, ale nie sposób jednego wieczoru włożyć szafirowej broszy i kolji z rubinami, a jeszcze Boże broń bransolety ze szmaragdowem spięciem. Przepięknie natomiast wyglądają garnitury składające się z kolczyków, pierścionka i broszy, dające się równocześnie nosić jako pendentif.

Bransolety są tej wiosny mniej modne. Choć właściwie dotyczy to w pierwszym rzędzie owych barbarzyńsko szerokich bransolet, pseudoartystycznych. Prawdziwie piękne klejnoty nigdy nie wychodzą z mody i zawsze są jednakowo piękne i dystyngowane. I zawsze pozostaną najmilszym ze świątecznych podarunków, sprawiających jednakową przyjemność obdarowującemu i obdarowanej.



POKAZ MODELI WIOSENNYCH U B. HERSEGO

Nastrój skupiony i uroczysty, gorączkowe wyczekiwanie, jak przed premjerą modnego autora. Towarzystwo doborowe. Obok pani Laroche, otulonej w jakieś nieprawdopodobnie piękne futra—rasowy profil p. Augustowej Zaleskiej. Hrabina Marja Potocka i p. Marja Majdrowiczówna—karakuły i srebrne lisy. Dwie bardzo dystyngowane, cokolwiek starsze damy, wiodą sotto voce spór scholastyczny, na temat «co jest gorsze: źle skrojone ubranie czy też grzech śmiertelny?»

Na efektownie oświetlonej, minjaturowej scence ukazują się żywe manekiny. Smukłe i giętkie, schodzą z niewysokiego podjum i idą między, zebrany w trzech salonach, publiczność. Przejście ich znaczy szmer zachwyconych szeptów.

Kostjumy tuilleur, tradycyjna, jeszcze przedwojenna specjalność domu B. Herse — wskrzeszone i zmodernizowane. Wirtuozowski krój żaktetu obcisło zaznacza stan. Lekkie falowanie baskiny akcentuje biodra. Komplety składają się z sukni i płaszcza, których harmonia nie jest rezultatem ślepego posłuszeństwa z góry ustalonym szablonom, lecz twórczej inwencji rządzącej się wyłącznie niezawodnem poczuciem linji i koloru. Ztąd koncepcje śmiałe, olśniewające nowością pomysłu, a przecie dystyngowane i spokojnc w efekcie. Mocną ezerwień sukni, gasi ciemny popiół twerd'owego palta, podbitego pąsowym jedwabiem. Pąsowy kapelusz dopełnia prześlicznej całośei.

Im strojniejszą jest suknia, tem ma być dłuższa — takie jest hasło Paryża. Kostjumy spacerowe są dłuższe od sportowych. Wizytowe dłuższe od spacerowych. Strojne suknie popołudniowe, przeważnie dość długie są komponowane z żorntychiffonów i meteorow, wzorzystych i gładkich. Główną ich ozdobę stanowi krój przedziwny, niezmiernie skomplikowany, a prosty w szlachetności efektu. Pozorną prostotę tych sukien urozmaicaję kołnierzyki i mankieciki, kamizelki i żabociki «lingerie», arcymisternie haftowane lub też koronkowe, bolera, pelerynki, oraz duże, miękko drapowane kołnierze.

Szmer zachwytu staje się coraz głośniejszy, jak wzbierająca fala. Bo oto zeszły zjawy niewiarygodnie urocze, spowite w obłoki z lekkich przejrzystych tkanin, które opadając w miękkich puszystych fałdach, pozaczarowują kobiety, w olbrzymie barwne motyle lub fantastyczne kwiaty.



Niektóre z wieczorowych kreacji Hersego ujawniają wyraźnie wpływ antyczny Hellady. Ta sama szlachetna prostota, ta sama strzelistość i przejrzystość draperji.

W kompozycji innych można odnaleźć reminiscencje stroju średniowiecznych kasztelanek, a czasem fantazje w stylu Directoire.

Obok wzorzystych muślinów, tak charakterystycznych dla zielonego karnawału, w modzie wieczorowej dominują kolory: czarny i bladoróżowy (rose Patou). Szczególnem powodzeniem cieszy się toaleta z żorżety w tym prześlicznym kolorze, bardzo długa i niezmiernie szeroka, której przybranie stanowi sieć nieprawdopodobnie misternych zakładek. Inna suknia, również bladoróżowa, jest zastebnowana w dość szerokie zakładki i zaopatrzona w krótkie bolero, nadające jej charakter strojno-ogrodowy.

— Juelle jolie robe pour une demoiselle d'honneur de mai! — Stwieroza z uznaniem jedna z cudzoziemek. Rzeczywiście byłaby to prześliczna toaleta dla druchny z majowego, ślubnego orszaku. Zwłaszcza w połączeniu z tym dużym kapeluszem z bladoróżowej słomy, podbitej szerokim pasem słomy czarnej.

Artystycznie dobrane kapelusze podnoszą urok prześlicznych sukien wiosennych. Duże ronda z przezroczystych, koronkowych słomek ocieniają twarz; kokardy, kwiaty rzucone z pozorną niedbałością zdają się przypominać o nadchodzących ciepłych, słonecznych dniach. Sam sposób noszenia kapelusza demonstrowany przez Herzowskie modelki, zsuwanie go z czoła przy lekkiem nachyleniu na bok, nadaje całej postaci ów fantazyjny wdzięk, stanowiący tajemnicę, tak zwanego, szyku. Małe berety, toczki drapowane z mięciutkicp słomek, dających się wypracowywać jaknajcieńszy materjał, tworzą zręczną całość z sukniami o skromniejszym charakterze.

Pokaz skończony.

W.

TEATR MIEJSKI W ŁODZI



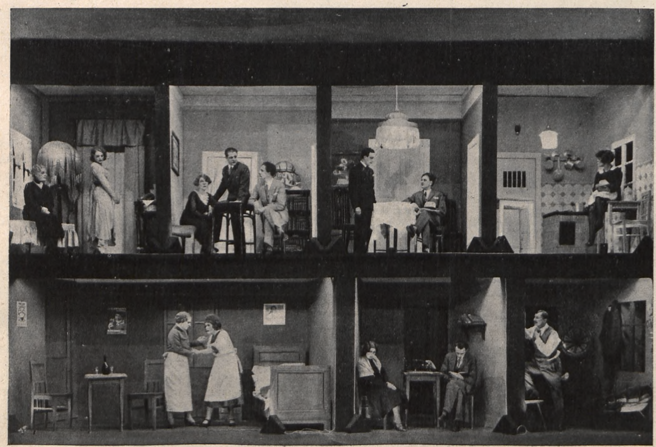
Scena z „Przestępców" Brucknera, stanowiąca część przekroju dwukondygnacyjnej akcji

Teatr Miejski w Łodzi pod dyrekcją Karola Adwentowicza jeszcze raz dowiódł, że «sceny prowincjonalne» częstokroć wyprzedzają stołeczne zarówno doborem repertuaru, jak i śmiałością realizacji. Gdy teatry stołeczne wystawiają: «Bal w obłokach», «Kochanków z Werony», «Mamam do wzięcia», gdy wznawiają nudnego «Don Juana», Teatr Miejski w Łodzi gra po raz pierwszy w Polsce: «Rywali», «Szweika», «Cjankali» i «Przestępców».

Wogóle teatr Karola Adwentowicza, przynajmniej w tym sezonie, przoduje wszystkim scenom polskim, a z grona jego zespołu artystycznego raz po raz wybija się nowa siła, obdarzona szczerym i szlachetnym talentem.

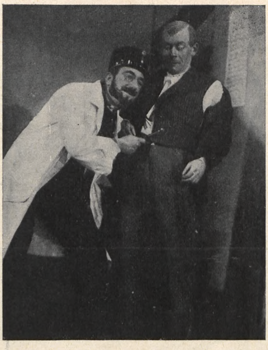
Wystawienie «Szweika» wzbudziło w swoim czasie ogromne zainteresowanie nie tylko w samej Łodzi, ale — śmiało to rzecz można — we wszystkich większych ośrodkach kulturalnych kraju. Zainteresowanie to było dwojakie: dla samego utworu scenicznego, opartego na tle jednej z najpopularniejszych obecnie powieści Haska, a ponadto, dla kapitalnej kreacji, stworzonej przez obdarzonego wielkim talentem komedjowym Michała Znicza.

Doprawdy, gdy się ogląda jego Szweika, powstaje mimowoli pytanie: który z aktorów polskich zagrałby tę rolę tak, jak Znicz? I pytanie zostaje bez odpowiedzi nawet dla tych, którzy wciąż jeszcze mają dla Znicza miarę aktora prowincjonalnego, gdy tymczasem artysta ten dawno już przerósł wymagania, stawiane aktorom «pierwszych scen». I dziwnem się wydaje, że «poławiacz talentów», dyrektor Szytman, który poznał się na artystach tej miary, co pp. Stefanja Jarkowska, Lubieńska, Socha, i innych, dotychczas nie zainteresował się Zniczem. Najlepszym dowodem niezwykłej popularności Znicza w Łodzi jest fakt, że «Szweik» grany był przed kilku dniami przy zapełnionej do ostatniego miejsca widowni po raz 50-ty, fakt, niemal dotychczas w dziejach teatrów prowincjonalnych nie notowany. Poza gorącemi owacjami, zgotowanemi Zniczowi przez rozentuzjazmowaną publiczność, «jubilat» obdarzony został mnóstwem kwiatów, wieńców i cennych upominków.



Scena z „Przestępców" Brucknera w oryginalnej realizacji Schillera

Dalszym ewenementem teatru Adwentowicza był śmiały eksperyment z wystawieniem «Cjankali» Wolfa, w doskonałem tłomaczeniu Jacka Frühlinga, sztuki, w której skrajny realizm doprowadzony jest niemal do brutalności. Wystawienie tej sztuki poprzedzone zostało prelekcją lekarzy i społeczników i mimo gorących sprzeciwów, a nawet demonstracyj pewnych odłamów społeczeństwa, «Cjankali» grane było 25 razy przy szczelnie zapełnionej widowni, w doskonałej obsadzie z pp.: Morską, Dąbrowską, Grywińską, Zniczem i Kijowskim na czele. W pierwszych dniach maja, teatr Adwentowicza przyjeżdża ze swoim zespołem do stolicy, gdzie da szereg przedstawień «Cjankali» i «Przestępców».



Michał Znicz, jako Szweik i Winawer w roli lekarza

Również niepowszedniem zdarzeniem w kronice polskiej sceny jest wystawienie w realizacji Schillera sztuki Brucknera «Przestępcy». Przy okazji pobytu teatru Adwentowicza w Warszawie, napiszemy o niej obszerniej, narazie stwierdzimy tylko, że do osiągnięcia niebywałego sukcesu, przyczyniła się doskonała gra pp. Żabczyńskiej, Morskiej, Horeckiej i Woskowskiego.

Ostatnim tryumfem Teatru Miejskiego w Łodzi jest «Orfeusz w piekle», operetka Offenbacha, wystawiona przez Tatarkiewicza w niezwykle oryginalnej inscenizacji. Libretto zostało całkowicie zaktualizowane, a w pewnej części zlokalizowane, tak, że fabuła bardzo zyskała na żywości.

Pierwszorzędnym tatentem groteskowym popisał się w tej operetce p. Woszczerowicz, dając kapitalną sylwetkę Jowisza — safandułę. Doskonała w bardzo trudnej partji wokalnej była p. Zamorska, prymadonna operetki, a stronę choreograficzną z wdziękiem reprezentowała p. Szmarówna. Istną rewelacją przedstawienia była «podwójna» gra p. Krzemińskiego w roli Orfeusza: raz, jako miły amant operetkowy, obdarzony dźwięcznym, choć niewielkim głosem, a powtóre, jako doskonały skrzypek. Przecież raz się zdarzyło, że artysta nie markował gry na instrumencie, a grał naprawdę i to jak prawdziwy wirtuoz. *(m. s.)*



Pp. Morska, Dąbrowska, Grywińska, Znicz i Kijowski w scenie ze sztuki „Cjankali"

«BORUTA»

opera-balet J. Maliszewskiego. Libretto Or-Ota. Układ tańców Feliksa Parnella. Dekoracje B. Wodyńskiego w teatrze Wielkim.



Dwóch poczciwych staruszków Maliszewski i Or-Ot skleciło operę-balet p. t. «Boruta», który skwapliwie wystawiono w teatrze Wielkim, węsząc sute kasy à la «Syrena». Układ taneczny zaś powierzono tryskającemu pełnią sił młodzieńczych Parnellowi. Jest bowiem takie powiedzonko francuskie: «Si vieillesse pouvait et si jeunesse savait...». Połączono więc starość z młodością, aby zaradzić złemu. Zwłaszcza, że jeden ze «staruszków» — Maliszewski — to nawet «modernista»...

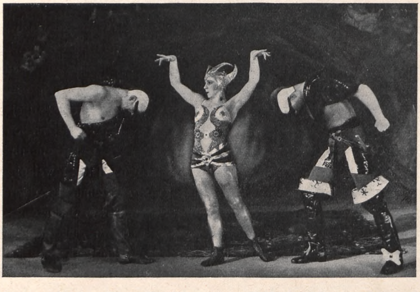
Skutek? Nienajgorszy, o tyle, że mogło być znacznie gorzej. I jeżeli ktoś zapyta, czy warto iść na «Borutę» — odpowiem: «Owszem, bezwarunkowo». Przedewszystkiem ze względu na hasło: «Popierajcie wyroby krajowe...» Zupełnie poważnie: każdego inteligentnego Polaka powinien interesować wszelki nowy objaw rodzimej twórczości artystycznej. Może wyjść z wrażeniem dodatniem lub ujemnem: — jest to rzecz tak dalece subjektywna... Ale iść powinien!

Wzrokowo w każdym razie będzie zadowolony. Dekoracje są malownicze, wystawa bardzo bogata, tancerki piękne, tancerze zwinni. Tańców (bo o nich tylko będzie mowa) dużo. Wysiłek kolosalny. A wynik?

Co do tego można być rozmaitego zdania. Jest bardzo wiele rzeczy wielce dodatnich, ale i sporo takich, które mogłyby wypaść o wiele lepiej. Ale do tego Parnell, pełen zapału, mrówczej pracowitości i niewyczerpanej energji, musiałby mieć nieco więce... kultury artystycznej, aby mógł opromienić nią swe układy i udzielić jej swemu zespołowi, obfitującemu w mnóstwo pięknych, lecz zupełnie nieokrzesanych artystycznie talentów.

Mamy na myśli przedewszystkiem tancerki tak wysokiej klasy, jak Karczmarewiczówna, Leitzkówna i Lipkowska. Są to artystki na światową miarę. Niema dla nich trudności tecznicznych. Wszystko potrafią, trzeba tylko niemi umieć pokierować i dopilnować rzeczy, których same dostrzec nie mogą.

Tango Parnellów, jak inne ich tańce wypadły bez zarzutu. Tańce ludowe mocno stylizowane, ale to nie szkodzi. Wyrazimy tylko raz jeszcze zadowolenie, że Parnell zerwał z szablonem. Zburzył stare zaśniedziałości. Czekamy teraz na wyniki jego pracy pozytywnej. *Liń.*



Scena z aktu I – Taniec Djabłów. Nina i Feliks Parnlelowie i Dąbrowski

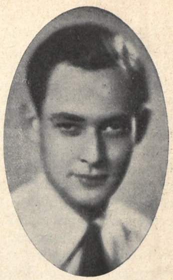


Scena z aktu III – Pojedynek *Fot. J. Kolarski.*


KALODONT

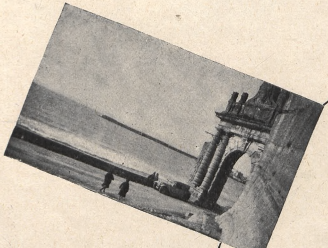


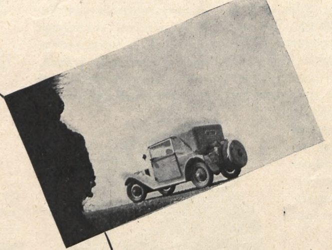
P. M. Malicka-Sawanowa



P. Zbyszko Sawan





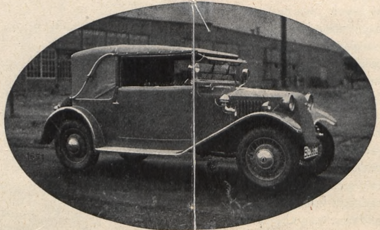


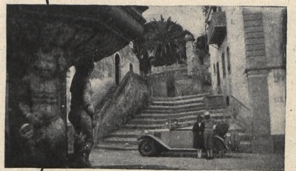
Pięknym dowodem, potwierdzającym opinię samochodów «Tatra» jest prawdziwie sportowy wyczyn jakiego dokonali pp. Sawanowie (czytaj Zbyszko Sawan i Marja Malicka) objeżdżając całą Polskę w tournée artystycznem. Godnem jest uwagi, że pp. Sawanowie wyjechali «Tatrą» w tak wielką bo przeszło 7000 klm. obejmującą podróż, bez szofera, sami jedni. Nie każda marka samochodów poszczycić się może takim zaufaniem. Sawan i Malicka przejechali Polskę wzdłuż i wszerz przez 57 miast i miasteczek po błotach, piaskach i bezdrożach, bez najmniejszego defektu motoru. Tourné p. Malickiej i Sawana było prawdziwym pochodem trjumfalnem tych dwojga ulubieńców Warszawy.

Po krótkim pobycie w Warszawie pp. Sawanowie wyjechali na odpoczynek do Włoch. Całą podróż odbywają samochodem «Tatrą». Ilustracje nasze przedstawiają, poszczególne etapy podróży po Włoszech.

Dyrekcja «Tatra-Auto» w Warszawie otrzymała od pp. Sawanów kilka listów z wyrazami uznania za doskonałe funkcjonowanie samochodu. Okazało się, że zarówno na chmurnej północy, jak i na słonecznem południu samochód «Tatra» jednakowo dobrze funkcjonuje wysoko niosąc sztandar fabryki samochodów «Tatra» w Koprzywnicy.







„TATRA-AUTO", Warszawa

DYREKCJA i BIURO:

CZERNIAKOWSKA 205

TEL.: 292-42, 75-32

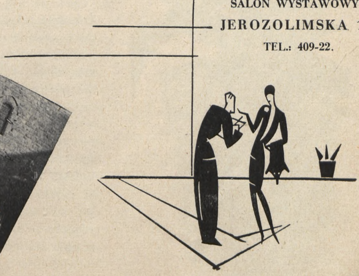


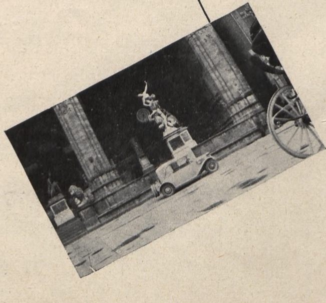
„TATRA-AUTO", Warszawa

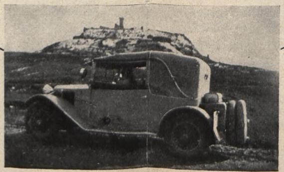
SALON WYSTAWOWY:

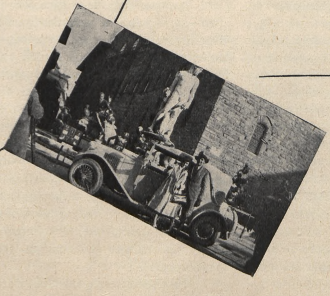
JEROZOLIMSKA 14

TEL.: 409-22.









WELL

NOWY STYL

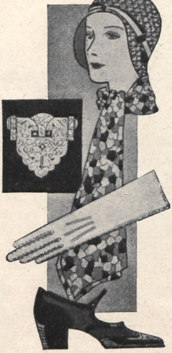
Każda epoka ma swój własny styl: — umeblowania, ubraniu, zachowania... Długość tych epok stylowych jest nieprawdopodobnie kapryśna. Styl średniowiecza ogarnia całe wieki — styl Directoire kilka krótkich lat rządów Barrasa i jego akolitów, potem już styl Pierwszego Cesarstwa, uroczysty i pompatyczny podobnie jak wszystkie gesty genjalnego dorobkiewicza, plączącego się w przepisach dworskiej etykiety, jak w gronostajowych fałdach koronacyjnego płaszcza.

Każda epoka ma własny styl. Nawet próby wskrzeszenia dawnych stylów stwarzają style nowe. Restauracja chciała wskrzesić Rococo, a dała Biedermayer. Współcześni esteci, często chorzy na wątrobę, wiele biadali nad „bezstylowością" tego stylu. Nad każdym zresztą stylem, przyjętem jest biadać. Jestem przekonana że Adam bardzo ktytykował pierwszą, wykopaną przez Kaina pieczarę, jako głupi wymysł i dowód karygodnej papinkowatości młodego pokolenia, które tak się rozpieszcza, że mu już tradycyjny nocleg pod gołem niebem nie wystarcza. A Ewę niewątpliwie musiał bardzo gorszyć nowy, wymyślny sposób w jaki jej synowe: Kainowa i Ablowa, drapowały dokoła bioder skóry tygrysów i lampartów.



Piękny zwyczaj budującego gorszenia się każdą innowacją przetrwał wszystkie style i zachował się po dziś dzień w stanie nieuszkodzonym i niezmiennym. Gorszono się krótkiemi sukniami i paskami na biodrach. Przyszły długie suknie, paski wróciły na dawne miejsca — zdawało się że tematu do zgorszenia zabrakło... Gdzież tam.

Jeszcze długie suknie nie zdążyły zejść ze stronic żurnala i wcielić się w życie, kiedy już podniósł się rwetes, i raban, że zgroza! że ruina! że niemoralność i rozpusta!... Bo jakże to!!... Słyszane to rzeczy?!.. Długie suknie... i paski na właś ciwem miejscu!...



Okazuje się że nowa moda, bez względu na to czy, jest wygodna i praktyczna, czy też rozkosznie irracjonalna, musi przy swem narodzeniu napotkać zdecydowany sprzeciw wszystkich „trzeźwo i rozsądnie myślących", zatryumfować nad tym sprzeciwem, przeniknąć do najszerszych warstw kobiecego społeczeństwa i...



umrzeć na nadmierną popularność, technicznie zwaną „opatrzeniem". Jest to naturalna śmierć każdej mody.

Wśród entuzjastycznych, bezkrytycznych zachwytów grupy strojniś spragnionych nowości za wszelką cenę (zachwytów umiejętnie podsycanych przezgrands faiseur'ów, vendeuse'y i wszystkich cui prodest, wśród zawziętej krytyki zwolenników stylu wczorajszego, zawsze niezadowolonych na zapas — rodzi się nowy styl, zwany także modą jutra.

Umiejętność wyczucia te go nowego stylu decyduje o powodzeniu domów mody i o elegancji kobiet. Nie jest to tylko kwestja wyboru kroju, lecz przedewszystkiem kwestja sposobu noszenia. Ileż to kobiet ubierających się za drogie pieniądze w niezawodnych, pierwszorzędnych firmach, mimo to zawsze sprawia wrażenie osób niemodnie ubranych, zasiedziałych na prowincji.

Zarówno tępy konserwatyzm jak bezmyślne nowatorstwo—są to poważne przeszkody zarówno do wyczucia stylu współczesności, jak i stylu własnego. A dopiero doskonale harmonijna symbioza tych dwóch stylów stwarza elegancję. Zaś elegancja u kobiety może z powodzeniem zastąpić urodę, nawet inteligencję... Chociaż nie, nie masz elegancji bez inteligencji, inteligencji specyficznej, rzecz prosta. Umysłowość wysokiej klasy zwrócona na rzeczy nieskończenie drobne jakiemi są nawet fatałaszki stwarza cuda. Niektóre, szczęśliwe wybranki losu osiągają tę cudowną harmonię bez trudu. Kiedy moda nakazywała noszenie kapelusza nasuniętego na same oczy, zsuwały go te panie uporczywie gdzieś, na czubek głowy. Teraz kiedy moda nakazuje odsłaniać czoło do najdalszych granic, one, niepoprawne, nasuwają kapelusz aż po brwi, twierdząc, że inaczej musiały by go zgubić. To są konserwatystki.

Nie lepiej zresztą od nich prezentują się i zdecydowane reformatorki, wyprzedzające każdy modny kierunek o dzie-



się długości. One to zwykły zmieniać w karykaturę najharmonijniejszy krój i najszlachetniejszą linię. Defigurują wszystko do czego dotkną. W dobie obecnej łatwo jest je rozpoznać po wyskubanych, do szerokości nitki, brwiach i podgolonem, á la polski szlachcic, czole. du, drogą wrodzonej intuicji, poprostu zawsze i niezawodnie wybierają to co jest najmodniejsze i w czem im jest najbardziej do twarzy. Inne dochodzą do podobnych rezultatów drogą długich a drobiazgowych studjów nad sobą, szeregu konferencyj z arbitrami mody i nieustannych wysiłków mózgu i kieszeni. Bo z elegancją to jak z urodą, uroda jest i tania i trwała, sztuczna wymaga nieustannego podtrzymywania i wciąż się psuje.



Po skonstatowaniu tejsmutnej prawdy, czas wypłynąć na ematy bardzy pogodne, a po wypowiedzeniu tylu ogólników, najwyższy jest czas powiedzieć coś konkretnego o stylu wiosny 1930 r. A więc, jak mówiono i pisano wielokrotnie modna jest obecnie kobiecość. Ale nie kobiecość kapryśnie łaskawej markizy z dworu Ludwika XV i nie kobiecość zapiętej pod samą brodę mieszczki z końca dziewiętnastego wieku. Nie sztuczna, „wyzwolona" kobiecość secesyjne czytelniczki Przybyszewskiego, i nie chłopięca, sportowo koleżeńska kobiecość dnia wczorajszego zdegradowana razem z opatrzoną i opatrznościową garsonką.

— Więc jaka kobiecość, do krocset stu tysięcy spartolonych kapeluszy!!

— Jaka? Nowa kobiecość, kobiecość wiosny 1930 r. Nowy styl.

Trochę mniej kantów, trochę więcej zaokrągleń. Ale jedno i drugie dyskretne. Mniej gieometrycznie-futurystycznych aplikacji, więcej draperji. Zawsze prostota, jaknajwięcej prostoty w stroju i w mowie, ale prostoty nie przypadkowej, nie bezmyślnej, lecz doskonale obmyślanej, wystudjowanej, artystycznej, malarskiej, architektonicznej... Nie poetycznej, nie. Poeci w modnym salonie są dosyć pożądani, zwłaszcza o ile dobrze opowiadają anegdoty, poezje też ujdą od biedy, zwłaszeza luksusowo oprawne... Ale „poetyczność" w kobiecie, to trąci Balsac'iem. A Balsac to bardzo niebezpieczne słowo dla kobiety, zwłaszcza takiej co już od dość dawna jest „jeszcze" młoda.

Precz z Balsac'iem, wracajmy do nowego stylu, który ma tę miłą zaletę że „robi młodo". Nie tak bardzo, jak styl wczorajszy, który „robił" podlotkowato, dziecinnie, niemal niemowlęco... Nowy styl „robi młodo" z godnością i umiarem. Od kobiety czterdziestoletniej wymaga aby wyglądała na lat dwadzieścia pięć, nie na szesnaście. Dlatego też niektóre panie pięćdziesięcioletnie twierdzą z żalem, że nowy styl „postarza", gdyż nie pozwala już nosić sukienek z których wyrosła wnuczka. To rzeczywiście przykre, niepraktyczne.

Nowy styl najśmielej i najplastyczniej wypowiada się w zakresie sukien wieczorowych, najmniej skrępowanym przez przyziemne wymogi dnia codziennego. Tu najlepiej daje się odczuć przesyt długoletniej tyranji „kusej mody". Ostatnie modele toalet wieczorowych są długie, zdecydowanie, wszechstronnie długie, zatracają nawet charakterystyczne podniesienie z przodu. Wzorzyste chiffon'y i żorżety układane są w sposób niemal hieratyczny. Współczesornament tkaniny i klasyczna prostota kroju, składają się na wieczorowy styl 1930. Ulubionym kolorem, wprowadzonym na nowo przez Patou jest rose Patou, jasno różowy kolor, tak długo nie noszony a najbardziej twarzowy i młody ze wszystkich kolorów. Młodość koloru przy powadze linji, oto jeszcze jedna z charakterystycznych cech nowego stylu. Równoważy to kontrakt młodego kroju z powagą ciemnej barwy w ubraniach spacerowych.

Pończoszki są ciemniejsze, pantofelki mniej fantazyjne. Pożądana jest harmonia obuwia i torebki. Godnie wygląda jedno i drugie wykonane z jednakowego węża lub jaszczurki. Piękny renifer też nie jest do pogardzenia, ale wtedy torbę powinien zdobić złoty monogram właścicielki.



Apaszka się przeżyła, wspaniały puszysty lis także. Orzeczono, że «robił ciężko». Zatem, pani modna, lisa przerobiła na kołnierz wieczorowego sortie, a na ulicy nosi wąski, trójbarwny szalik żorżetowy, lub fantazyjnie wiązany krawat z miękkiego futerka.

Nie tak łatwo być «w stylu».

WELL

RAZ DO ROKU KOŁO WIELKIEJ NOCY...

— Święto Wiosny — mówią poeci.

— Święto obżartuchów — powiadają hipochondrycy, chorzy na żołądek i kamienie żółciowe.

— Wakacje — wrzeszczą radośnie sztubaki.

— Okazja do sprawienia strojnej wiosennej sukni i jeszcze... — myślą piękne panie, ale jako urodzone dyplomatki nie mówią tego co myślą.

Kto ma rację? Nikt, czy wszyscy? Czyż to nie wszystko jedno? Jest wiosna i jest obżarstwo. Młodzież szkolna na wakacje, a panie wiosenne toalety. Czasem bywa też, że w pierwsze święto lunie deszcz i zniszczy nowiutki wiosenny kapelusz, czasem krawcowa w pośpiechu spartoli śliczną wiosenną suknię z kwiecistej żorżety, a często, o bardzo często zimna szynka z wydatną pomocą indyka ze śliwkami i prosięcia z chrzanem przyprawią kogoś o grubszą niestrawność.

— Bywa, wszystko bywa — jak mawia pewna sympatyczna właścicielka chemicznej pralni, dokąd po każdej zabawie publicznej czy przyjęciu prywatnem sumiennie odnoszę swoją wieczorową suknię. Ostatnio nawet, oglądając żorżetowy godet, na którym resztki cumberlandu, sąsiadowały z majonezem, likierem, kruszonem, czarną kawą... a wszystko to obficie posypane cukrem z wanilją i pięknie przypieczętowane dziurą, wypaloną przez nieuwagę czyjegoś papierosa — zacna matrona pokiwała dobrotliwie głową i rzekła:





— Bywało, bywa... ale rzadko.

To było w karnawale, bo na Wielkanoc sądzę, że pamiątki najskomplikowańszych jadłospisów muszą często pozostawiać na ubraniach pań i panów i nikogo już nie dziwią. Wszędzie jest ciasno (jesteśmy gościnni) wszyscy są przy apetycie (jesteśmy wyposzczeni), o potrącenie nie trudno... Zresztą, chemiczne pralnie muszą też z czegoś istnieć, daj im Boże zdrowia! Jak sobie człowiek podje i wypije, toby muchy nie skrzywdził, a cóż dopiero chemicznej pralni. A jak się suknia nawet zniszczy, to się sprawi nową, od tego jest wiosna, żeby wszystko było nowe, nawet dlatego nazywa się: przednówek. A od tego jest Wielkanoc, żeby się byle czem nie przejmować i nie martwić. No nie?

Tak sobie ugwarzają, zagryzając Święconem dziesiąty kieliszek, nasi panowie.

A panie? A panie też odczuwają święto wiosny... po swojemu.

Jeszcze nie ma ani kwiatów, ani liści, ani nawet zielonych pączków na drzewach. Jeszcze słońce «wiosenne» nie osuszyło brzydkich kałuży na chodnikach. Jeszcze jest zimno i wietrzno i wilgotno i paskudnie... a przecież, a przecież na futrzanym kołnierzu zimowego okrycia zakwitają panieńskie fijołki, kapelusz z najcieńszej, najlżejszej, najegzotyczniejszej słomy, śpiewa tryumfalną pieśń o wiośnie i o Florydzie (ojczyźnie słomek), a wtórują mu oczy, oczy błyszczące, jednocześnie smutne i roześmiane, oczy milczące, a jakże wymowne, oczy rozbrzmiewające najcichszą, a najgłośniejszą pieśnią nad pieśniami.

— Czy nie zauważyła Pani, że wczesną wiosną raz do roku koło Wielkiej Nocy,





nachodzą nas jakieś tęsknoty... nieokreślone, a raczej zbyt określone, aby się kobieta dobrze wychowana ośmieliła je określić!

— Czy zauważyła Pani, że na wiosnę, mężczyźni stają się jacyś... nie, mniej głupi, nie, bardziej interesujący, ale jacyś... pociągający, o! c'est le mot. Minęły już czasy gdy kobieta szukała w mężczyźnie wcielenia ideału. — Dla ciebie wiecznie żyć, o ideaaale mój!... — Słowa równie niemodne, jak melodja. Obawiam się, iż bez echa pozostanie „Krzyk o nowego mężczyznę" pani Ireny Solskiej, i dysertacje kobiet, pogrzebanych za życia w „Domu Kobiet" o tem jakimi byli, a jakimi powinni byli być mężczyźni, wiecznie żyjący w ich pamięci. Wieczność i miłość, czyż pojęcia te nie wykluczają się wzajemnie? Nie sądzę, aby Pani marzyła o wieczności w sprawach tak przemijających, ale raz do roku koło Wielkiej Nocy, można sobie przecież pozwolić na małą rozrywkę. A do rozrywki, czyż trzeba tyle wielkich przygotowań i wielkich słów. Poco szukać w innych jakichś niezwykłych walorów duchowych czy umysłowych! Czy nie lepiej wyrabiać je w sobie? A do rozrywki, czyż można wymagać czegokolwiek ponadto, że jest zabawna?



Pan Devey zwrócił się do nas prosto z mostu z żądaniem, abyśmy dla Ojczyzny miłej ubierały się tej wiosny w łódzki perkal, względnie markizety. Puściłybyśmy te rady mimo uszu, gdyby nie to, że sam pan B. Herse i B. Myszkorowski odezwali się na patrjotyczny apel i obiecali czynny współudział. Jak tak, to co innego. Jeżeli krajowe materjały mają być modne — będziemy nosiły krajowe materjały. Na wiosnę ma się serca rzewne i miękkie. I doprawdy, raz do roku koło Wielkiej Nocy można coś zrobić dla tej „nieszczęśliwej Ojczyzny".







REWJA «MAJ ZA PASEM»

w teatrze «Qui Pro Quo».

«Qui pro quo» jest najaktualniejszym teatrem w Polsce. Zdjął rewję «Dookoła Bartel» akurat w dzień dymisji rządu prof. Bartla, bieżącą zaś będzie grał tak długo, póki będzie «Maj za pasem».

Najaktualniejszy teatr w Polsce i... najdowcipniejszy. O, co do tego nie może być dwóch zdań. W «Qui pro quo» nie bywa złych programów. Nie może wcale być przy takich autorach i przy takich aktorach. Więc i w bieżącej rewji niema scenki lub obrazka, w którymby nie było czego ciekawego, interesującego, komicznego, artystycznie wartościowego.

Na pierwszy plan wysuwa się niezawodna «vis comica» Toma i Lawińskiego w ich pysznych djalogach: «telefonicznym» i «szachowym». Dobre są również piosenki Lawińskiego, choć pamiętamy je z czasów «Perskiego oka» na Marszałkowskiej. Wybitnie utalentowana Kalinówna dała znakomity w akcencie i charakteryzacji typ groteskowy.

No, a Zula, to zawsze — Zula... Wyborna, jako «brzdąc», rozkoszna, jako młoda małżonka («miesiąc po ślubie i takie wymagania...»). Nieoceniona artystka...

Ma też «Qui pro quo» dwa zespoły, któremi słusznie się szczycić może. «Tacjanki» i «Daniści». Pierwsze: rozochocone, promienne, wiośniane, ale gdy trzeba, to i artystki wysokiej klasy tanecznej... Drudzy: pięknogłose chłopaki, robiące coraz wspanialsze postępy, — stają się niezbędnym elementem tego przemiłego teatru. Gdy zaś połączone te dwa zespoły w prześlicznym obrazku «Księżyc nad Tahiti» (ta sama melodja, którą śpiewa Ramon Novarro w «Poganinie») — osiągnięto wokalnie i tanecznie poziom rzeczywiście światowy...

Bardzo oryginalnie pomyślany i wielce nastrojowo zainscenizowany jest pierwszy finał, oparty na znanej piosence «Wenn du einmal dein Herz verschenkst», (również wziętą z filmu — z «Pokus Europy»), dobra w tekście — ballada hiszpańska, pyszny — djalog znakomicie ucharakteryzowanych Toma i Dymszy, który przedtem jeszcze przechodzi wielce makabryczne metamorfozy. Wreszcie, Górska w nowej postaci — jako muzykalna kompozytorka i pianistka, przygrywająca wraz z utalentowanym skrzypkiem Wiłkoszem. Dobrze spisuje się również Minowicz i Żelski. Wszystko zaś — na tle prześlicznych dekoracyj mistrza Galewskiego i w bardzo dobrem opracowaniu muzycznem Wesby'ego. Conferencierka Jarosy'ego, jak zawsze, bardzo dobra. To też można śmiało rzec o bieżącej rewji słowami II-ego finału: «Podobasz mi się, podobasz mi się, bajecznie».

H. L.

Fot. St. Brzozowski



Fr. Jarosy



Z. Pogorzelska



L. Lawiński

WŁODZIMIERZ POPŁAWSKI

K A P R Y S

Siąpał wtedy jesienny, drobniutki kapuśniaczek.

Na lśniącym asfalcie kładły się złote plamy liści.

Okna wystawowe błyskały pierwszemi migotami świateł.

Tułały się ulicami delikatne przędze jesiennych, białych mgieł.

Zauważył ją już zdaleka.

Wysoka, smukła sylwetka. Bajecznie zgrabne, mocne nogi w poemacie maleńkich pantofelków. Jakiś puszysty lis, jakieś ozdobne, lekkie futerko, mały, purytańsko skromny kapelusik.

Coś znajomego...

Chociaż...

Mijali się.

— Przepraszam panią... — uchylił niezdecydowanie kapelusza.

Zatrzepotały długie rzęsy.

— Za co?

Krótko, chłodno.

Speszył się. Wokół ludzie.

Przechodzą, przyglądają się.

Głupia sytuacja.

Jak sztubak.

— Pani... pani... pani...

Roześmiała się.

— No niechże pan wykrztusi, panie Andrzeju, — ni to złośliwie, ni dobrotliwie.

Ulżyło.

— Jak ja się cieszę...

— Czyżby?

— Naprawdę, pani nawet nie wyobraża sobie...

— No, no, bez przesady. Zresztą, pan jak zwykle — ironizuje. Są takie gładkie słówka, które się mówi wszystkim i zawsze. Prawda?...

— Ależ... — próbował oponować.

— Tak, tak panie Andrzeju.

Szli już obok siebie.

Błyskawicznie skonstatował, że wyglądała świetnie, nie zestarzała się, raczej przeciwnie — była jeszcze piękniejsza, jeszcze młodsza, jak zwykle doskonale ubrana, jak zwykle dyskretnie pachnąca.

— Tyle czasu, — zauważył.

— A tak, — potwierdziła na pozór obojętnie.

— A pani dawno wróciła z Paryża?

— Nie, ale dostatecznie długo, aby mieć jej dosyć. Jestem przekonana, że nie zostanę tu zadługo. Nudzę się, Kazio jest stale zajęty, stale wyjeżdża, a ja z nudów mało nie oszaleję. Nudy niewiarygodne. Wy tu zupełnie nie potraficie bawić się, zapomnieliście co to znaczy śmiech. Cmentarne miasto. Jeśli nie trafię na jakąś ciekawą przygodę, zwijam manatki, całuję Kazia w czoło i na święta uciekam do Nicei.

— Ośmielam się twierdzić, że o przygodę nie trudno i jestem przekonany, że z łatwością potrafiłbym rozproszyć i nudę, i niezadowolenie, i wogóle cały ten, wcale niewesoły nastrój.

— Coo??? Cudotwórca!

— Proszę wyobrazić sobie, że teraz bardzo milutko

mieszkam. Sporo niezłych obrazków, jakiś niezgorszy dywanik, odrobina kilimów, niezadużo prostych, sosnowych mebli, sprytnie skonstruowana, «instalacja» oświetleniowa, znośny patefon i doskonała kawa. C'est tout! Ba, zapomniałbym,— najważniejsze, że w moim apartamencie niema ani pieca, ani kaloryferów, natomiast jest... kominek. Czy nie poemat?

— Ależ oczywiście. Zwłaszcza ten kominek jest nadwyraz poetycki. Pan, przypuszczam, zainstalował go na mój benefis?

— Czemu?

— Kiedyś przecież wspominałam, że jeśli się zgodzę odwiedzić garsonjerę młodego mężczyzny, to tylko wtedy, jeśli będzie tam kominek. Pan zapomniał?

— Nie, to jest... nie, owszem, pamiętam. Zresztą jest u mnie mnóstwo ciekawych drobiazgów...

— Panie Andrzeju, panie Andrzeju, trzeba wreszcie zapomnieć, że kiedyś tam, podczas wojny, było się lotnikiem, teraz pokój, do celu należy dążyć nieco wolniej, nieco spokojniej, zawrotne tempo na zdrowie nie idzie. Pańska propozycja jest nota bene zachwycająca, ale... niech mnie wytłumaczą: brak czasu i organiczna awersja do — recydywy... Kobieta w moim wieku ma już zamało czasu na... powroty.

— A serduszko?

Roześmiała się.

— Poeto, poeto, kochany marzycielu z własną garsonjerą i płonącym kominkiem, czy pan nie da się wreszcie przekonać, że miłość, o której tak pięknie pisze pan w swych poematach, czy nowelach blednie całkowicie przy niepozornym czeku dolarowym lub lśniącej limuzinie?

— Hooo... Zmaterjalizowaliśmy się, pani Tusieńko. No, no, tego spodziewałem się najmniej. Bardzo przepraszam, że zabrałem pani tyle czasu. Jednakże, — w przystępie dobrego humoru proszę przypomnieć sobie moją «poetycką istotę» i garsonjerę z kominkiem. Mieszkam na Żoliborzu, w Osiedlu Dziennikarskiem.

— Jeszcze lepiej, szkoda że nie w Milanówku, czy Skierniewicach.

— Hm, ludzi, którzy piszą, niebardzo stać na apartamenty w centrum miasta, zresztą—niech pani nie zapomina, pani Tusieńko — kominek!!!

— Ależ dobrze, dobrze. Specjalnie zanotuję sobie, że mam dobrego znajomego plus garsonjera z kominkiem i, że właśnie dla tego komina poeta namawiał mnie do grzechu.

— Będę więc czekał i tęsknił.

— To panu wolno, poeto!

* * *

Skręciła w najbliższą przecznicę. Jeden dom, drugi. Brama, schody. Szła coraz wolniej. Niechętnie. Drzwi, dzwonek. Zdejmuje futerko.

— Pan w domu, Zosiu?

— Tak, proszę pani, czeka już półtory godziny z obiadem. Jest zły.

Krótka, rzeczowa relacja.

Kazio jest rzeczywiście zły. Błądzi po stołowym tam i sam.

Nerwus.

— Czekam już dwie godziny.

— Czyżby?

— Głodny jestem jak wilk.

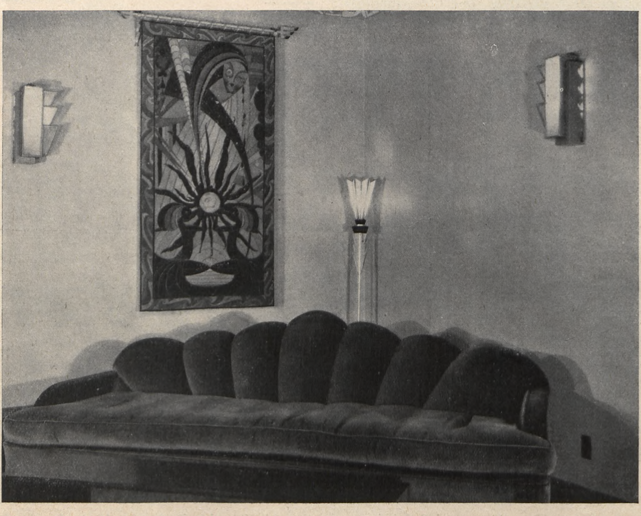
— Trzeba było jeść obiad.

— Bez ciebie??

— Mogłam wcale nie przyjść, a w każdym razie bardzo późno!

I ni stąd ni zowąd — spazmy.

— Tusieńko, dzieciaku, co tobie?



Fragment wnętrza w stylu ultramodern — *Photo Paramount*

Mąż troskliwie obejmuje zgrabną figurkę.

— A wszystko przez ciebie...

Szept przez łzy.

— Pzeze mnie???

Mąż jest wyraźnie i nie na żarty skonsternowany.

— A właśnie że przez ciebie. Na placu Trzech Krzyży zaczepił mię jakiś młody, obcy mężczyzna. Szedł krok w krok, proponując abym wstąpiła do niego na filiżankę kawy. Myślałam że spalę się ze wstydu. Taki łotr, wkoło pełno ludzi, może kto ze znajomych widział...

— No dobrze, dzieciaku, ale co ja temu jestem winien? Zresztą, mogłaś jechać autem.

— A właśnie... autem... Jakiem??

— No, no... zwykłem, mało jest taksówek?

— Tak, to tybyś chciał, żeby twoja żona tłukła się brudną taksówką, żeby była narażona na napaść pijanego szofera. na uwiezienie gdzieś do...

Znów spazmy.

— Ależ Tusieńko, jesteś przewrażliwiona. Dlaczego mieliby właśnie napadać?

— A może nie zdarza się to, może nie «piszą» w gazetach???

— Jeśli nawet, to gdzie jest moja wina, że ciebie zaczepił jakiś młody bęcwał?

— Bardzo jasne, gdybym miała własne auto...

— Tusieńko, wiesz przecież, że teraz takie ciężkie czasy..

— Wiem, wiem, ty to zawsze powtarzasz, ale — Kaziutku, ja widziałam taki śliczny, mały, dwuosobowy kabrjolecik w sam raz dla mnie.

— Przecież ty zawsze mówiłaś, że szkoda pieniędzy na własne auto·

— No tak, ale widzisz takie małe...

Mąż taja, jak śnieg w ciepły, kwietniowy dzień. Na starannie wygolonej, pulchnej twarzy błąka się coraz radośniejszy uśmiech.

— Więc kupi Kaziutek?

— Dzieciaku, dzieciaku, cóż robić, tym ostatnim argumentem przygwoździłaś mnie całkowicie.

Po spożyciu obiadu:

— A propos, Kaziu, ty przecież tak dobrze znasz Warszawę, czy na Osiedlu Dziennikarskiem jest ulica Tucholska?

— Pojęcia nie mam kochanie, ty wiesz, że moja branża to—bekony, a nie dziennikarze, a czemu pytasz?

— Ot, nic, tam mieszka moja nowa krawcowa...

* * *

Pada śnieg. Kładą się na ziemi drobne, iskrzące jak brylanty płatki.

Ściska mróz.

W kominku huka złocisto-krwawy płomień.

Gonią się po ścianach jakieś niesamowite cienie, a przez okno włazi bury mrok.

W błyskach płonącego ognia lśnią rozbiegane czcionki małego Remingtona. Dziś sonety «tworzy» się na maszynie. Postęp. W całem mieszkaniu pustka. Żywej duszy, gospodarze wybrali się z wizytą.

Po opuszczonych pokojach błąka się cisza.

I za oknami cicho. Od czasu do czasu uderzy o szyby wiatr.

To wszystko.

Nagle...

Samochód!



P. Janina Strzelecka,
świetna odtwórczyni Racheli w wznowionej operze „Żydówka" Halewy'ego

Najwyraźniej samochód. Jedzie, jest coraz bliżej. Tuż, tuż...

Zatrzymuje się pod oknami...

Kto to może być?

W całym domku tylko on.

Szyby zamarźnięte.

A może pomyłka?! Ulica ciemna.

Dzwonek.

Wybiegł do przedpokoju.

Drzwi.

— Tuśśś... Przepraszam, łapki całuję. Ilu dobrych bogów namówiło panią do odwiedzenia samotnika, i to właśnie dziś...

Śmieje się.

Śmieje się tak ślicznie, jak dzień wiosenny pełen świeżych, pachnących traw, jak źródło w słońcu...

— Tylko jeden, jedyny, ten który tkwi tu.

Różowy paluszek wyłuskany z ciepłej rękawiczki wskazuje na lewą stronę.

Już nic nie mówił, nie pytał. Schwytał ją w mocne wiązadła ramion — uniósł i... poniósł.

— Rzeczywiście — kominek jest, i wcale ładnie, wcale przytulnie. Sybaryta.

— Ale czemu... czemu...

— Już wiem, pan nie może zorjentować się, co mi skoczyło do głowy, że przyjechałem tu i to właśnie dzisiaj...

A przecież to takie proste. Mąż wyjechał i wraca dopiero jutro. Na szczęście w porę przypomniałam sobie, że istnieje ktoś także bardzo samotny i bardzo miły, a że dostałam w podarunku małą, ładną maszynkę, więc do tego «ktosia», na koniec świata przyjechałam. Czy jasne?

— Zupełnie.

Usta, jak żar kominka ślizgały się po atłasie dłoni.

— Ale, mimo kominka, tu nie zostaniemy. Dziś mamy skrzydła, możemy pędzić w świat, gdzie nam się podoba. Nasza «noc» musi być oryginalna. Ubierać się, poeto!

* * *

Szosę jakgdyby kto w srebrze wykąpał.

Gonią się po niej dwa słońca reflektorów.

Motor gra cicho, rytmicznie, dyskretnie sapiąc tłokami.

Po obu stronach — srebrzysto-czarny parawan.

Las.

Cicho, pusto. Niekiedy mrugnie przez brylantowe błyski czerwona źrenica niedalekiej chałupy.

Pryśnie w mroźnej ciszy jazgot psiego szczekania.

I pęd, pęd.

Gnali coraz szybciej. Przytuleni do siebie, bliscy, jak gdyby razem pochyleni nad sterowem kołem. Miasteczko, jedno, drugie. Tor kolejowy. Puławy. Na lewo srebrzyste góry, na prawo płynie rzeka.

— Wisła! — zauważył. Jeden wiraż, drugi, trzeci. Zdaleka mrugają czerwone paciorki. Zatrzymała motor. Wysiedli.

Siarczyście cmoknął ich mróz, pod stopami melodyjnie zaskrzypiał śnieg.

— To Kazimierz, pojedziemy tam — pieszczotliwie pogładziła ciepłą maskę zgrabnego kabrjoletu. — Dzięki niemu «nasza noc» będzie cudowna!

Usta były gorące.

Fot. J. Malarski



P. Olga Olgina
w roli Pokusy w „Borucie" Maliszewskiego


Odol
Odol

J. RAWICZ

TĘSKNOTA



Kazimiera Skalska

Leży przedemną koperta, zaadresowana do Ciebie.

Starannie wykaligrafowane litery spoglądają na mnie jak obce. Nieprawdopodobnie brzmi wyszukany pseudonim „gwiazdy filmowej", tylekroć okrzyczany z reklam ulicznych...

— Liliana Annith — — —

A jednak dzisiejszy wieczór należy się Tobie. Właściwie wystarczyłoby zadepeszować do ciebie że Twój portret pod tytułem „Tęsknota" dostał nagrodę w Salonie Jesiennym. Przyznaję szczerze: nie ja, lecz Ty otrzymałaś tę nagrodę. Któryżby, bo z innych kolegów miał tak wspaniały model?...

Nie chcę być dziś sam. Nudzą mnie koledzy, uciekam na myśl... brr! bankietów z hucznemi toastami, denerwują chłopcy uliczni, wywołujący hałaśliwie na ulicy nazwisko „znakomitego rodaka, odznaczonego na obczyźnie". Czuję się jak uczniak po maturze.

Postanowiłem więc złożyć Ci wizytę.

Czy jest jeszcze gdzie na świecie mąż, któryby zobaczył własną żonę, po trzyletniej rozłące — poraz pierwszy na ekranie?

Gdy z czarnego otworu w przeciwległej ścianie trysnął na białe płótno potok światła, i ze schodów starego szkockiego zamku poczęłaś wolno i majestatycznie zstępować — Ty, Lili, żona moja, doznałem szczególnego uczucia...

Podobnie czuł się chyba Zygmunt August, gdy ukazała mu się po długich latach zjawa utęsknionej Barbary.

Byłaś mi zarazem znajoma i obca.

W sutej krynolinie ginęły Twoje smukłe kształty — wygolone brwi odebrały Twoim oczom ten dziecinnie bolesny wyraz, który tak czarował — za to ruchy nabrały pewnej, bez przesady powiem: monarszej dystynkcji.

Lecz im dłużej patrzyłem, tem zachwyt mój pierwotny ustępował miejsca zwykłej ludzkiej pasji!... Bo też pożal się Boże, jak tam w tej Twojej wytwórni nie mają pojęcia o właściwem wydobyciu piękna, w malarskiem tego słowa znaczeniu!

Ktoś znęcał się z lubością nad ustawieniem Twego profilu, ktoś inny — czy też może ten sam — uwziął się widocznie, by zniechęcić widzów do Ciebie, by postać Twą skrócić i zniekształcić. A to brutalne światło, a te ostre i gwałtowne cienie, rzucane na twarz, wołały poprostu o pomstę do nieba! Skandal! Kryminał! Moja malarska dusza wrzeszczała w niebogłosy na widok niedopuszczalnych krzywd, które działy się tak ślicznej osobie z racji błazeńskiego oświetlenia!

No, a druga katastrofa — to scenarjusz. Panie Boże święty, jak tam się jedno drugiego nie trzyma! Wątpię, czy potrafiłabyś własnemi słowami opowiedzieć, o co rzecz idzie. Scenarjusz powinien być zwarty, mocny, z sensem: jakiś subtelny komentarz do analizy psychologicznej — niekoniecznie akcja musi koziołkować z pieca na łeb — można nawet nieznaczącą napozór historję dwojga ludzi poprowadzić interesująco, koronkowo, delikatnie — i wyprodukować film kameralny, że proszę siadać!

Boję się, że te dygresje zaprowadzą mnie zbyt daleko...

Jestem pod czarem Twego dawnego uroku. Myślę o Tobie nie bez tkliwości. Próbuje skonfrontować moje dzisiejsze doznania z pierwszem wrażeniem z chłopięcych lat. Obawa przed sentymentalizmem, dziecinne zawstydzenie broniły mnie przed wypowiedzeniem głośno tego, co najlepiej umiałbym chyba wyrazić pendzlem. Pamiętam to przeżycie w barwie paryskiej wiosny: bladoniebieski, omglony nierealny kolor, przesycony powietrzem — jedyny w świecie zapach tego miasta—i Twój dziewczęcy profil, na ruchomem tle przesuwających się brzegów, jak na renesansowych obrazach. Było to na stateczku, który w niedzielne popołudnie przewoził spacerowiczów do Saint - Cloud, do Suresenes, wzdłuż Lasku Bulońskiego. Byłem uderzony Twoją urodą, i myślałem sobie — trochę bez sensu, ale właśnie temi słowy: że taka piękność nie może isnieć bezkarnie.

Chłonąłem cię oczyma, jak witraż.

Byłaś mojem najgłębszem wzruszeniem artystycznem.

Udało mi się z kącika, gdzie stałem otulony modną wówczas peleryną i wlepiłem w ciebie zachwycone ślepia — przypadkiem posłyszeć kilka słów rozmowy, zamienionej ze starszym panem, którego surowy wygląd nie był pozbawiony pewnej wrodzonej wytworności. Trzeba mieć dwadzieścia lat i być długi czas na obczyźnie, by doznać podobnie pochłaniającej radości na dźwięk słów polskich. Tymczasem statek przybił do brzegu, i niecierpliwy tłum zagarnął Cię, porwał swą falą i już Cię nie mogłem odnaleźć.

Szukałem Cię przez kilka dni, z nieopisaną żarliwością. Sądziłem, że nieomylny instynkt znów poprowadzi mnie na skrzyżowanie naszych dróg. Włóczyłem się po ulicach, kawiarniach, aż wreszcie zniechęcony daremnym wysiłkiem — zaprzestałem. Tylko wszystkie blaty marmurowe w „Rotonde" i marginesy wszystkich gazet były zarysowane mniej lub więcej udanym szkicem dziewczęcego profilu, który na chwilę ukazał mi się w mrowisku Paryża.

Tak to wyglądał pierwszy szkic mej „Tęsknoty" i pierwszy szkic mego zakochania.

Po pewnym czasie wspomnienie utraciło swą plastyczność i nabrało przydymionej barwy ślicznego snu. Tok marzeniowy, niczem niezakłócony, niezmącony wtargnięciem rzeczywistości, snuł wokół Twej postaci tęczową pajęczynę.

Czas spełnienia przyszedł w sposób najmniej oczekiwany. Już dawno zatarło się we mnie marzenie o Tobie,

jak na prześwietlonej kliszy. A życie lubi spełniać życzenia — po niewczasie. Przebiegi zewnętrzne pamiętasz chyba również dobrze, jak ja: to niespodziane spotkanie w pociągu jadącym do Warszawy — łatwa znajomość — nawet nadmiernie łatwa, jak na chłodną zazwyczaj rezerwę „starszego pana" (trudno, nie umiem inaczej, nawet w myśli, nazywać Twego ojca!...) — no, i wtedy pan Tadeusz zakochał się po same uszy...

Przy ulicy, na której mieszkałaś w Warszawie za owych czasów, jest kościół. Obok kościoła ogródek. Znam w tym ogródku każde niemal drzewo. Szare smugi topniejącego śniegu — nieśmiały seledyn młodziutkiej trawy — wieczorne niebo, na którem groźnie i ponuro rysowały się wieże, bryłowate wieże kościelne — rzeźwe, przedporanne powietrze o barwie konchy — wszelką porę roku i dnia znam z codziennego cierpliwego oczekiwania. Jak minstrel średniowieczny, sprawowałem wartę pod Twemi oknami i z tysiąca niedostrzegalnych dla innych ludzi szczegółów nauczyłem się odcyfrować rozkład Twego dnia. Naprzydład, codziennie o 5-ej wychodziłaś na lekcję muzyki. Wyrastałem przed Tobą, jak długi, na przystanku tramwajowym, niezdarnie szukając pretekstu, któryby spotkaniu nadał cechy przypadkowego zdarzenia (dzień w dzień!...), czemu z subtelną wspaniałomyślnością nigdy nie zadawałaś kłamu. Potem — tacitu consensu — szukałaś mnie już sama po drodze i bez dłuższych debat podawałaś mi swą teczkę z nutami. Z królewskim gestem — siedemnastoletnia smarkata! — pozwoliła się kochać.

Jakże nienawidziłem tego wielkiego dryblasa, który czasami rabował mi moje przywileje! Ale najmilsze były chwile, kiedy zdaleka przytulony do drzewa, zrośnięty z niem w jedną szarą plamę sysiłem oczy smukłością Twej postaci, cudem zaróżowionej na mrozie twarzyczki! Naprzykład wtedy, gdy wychodziłaś z ojcem — pełna godności, doskonale obojętna, panienka coomme il faut... Tęskniłem za Tobą wtedy w owe sekundy niewysłowionych skrzydlatych uniesień tęsknotą tak żarliwą, jak niedosłyszalna modlitwa...

Chcesz wiedzieć prawdę? Jeszcze teraz niekiedy błąkam się spacerem pod oknami Twego panieńskiego pokoiku, gdzie za firanką mieszkają jacyś obcy ludzie, gdzie jak pasożyt panoszy się cudze życie na śladach Twego bytowania i jeszcze teraz czasami odczuwam aż dławiący w gardle, rozkoszny dreszcz dawnej tęsknoty za Tobą...

A potem wracam do domu — na moją ponurą mansardę — i maluję, maluję, jak warjat!.... Z taką pasją i żywotnością, jak w ten niezapomniany a uroczy wieczór, kiedy... wtargnęłaś do mojej skromnej siedziby i jeszcze w progu, zadyszana, zarumieniona od biegu poprostu — oświadczyłaś się o moją rękę:

— Panie Tadziu — wiem, że pan mnie kocha... Czy chce pan się ze mną ożenić?

Grom z jasnego nieba — — — fajerwerk — — — czy ja wiem zresztą? Pamiętam tylko tyle, że garnuszek wody do akwareli rozlał się po podłodze i, że w danej chwili byłem bardzo głupkowato zajęty ścieraniem płynnej różnobarwnej strugi — znacznie bardziej, niż obmyślaniem odpowiedzi na tę fantastyczną, małżeńską propozycję. Byłem ogłupiały ze szczęścia i przedewszystkiem nie potrafiłem w nie uwierzyć. Dopiero gdy usiadłaś na krześle i nie zdejmując okrycia (nosiłaś skromny granatowy płaszczyk i aksamitny beret, który nadawał Twej twarzyczce słodki dziecięcy owal) prędko, gorączkowo zaczęłaś mi opowiadać o Twych losach rodzinnych, nieprawdopodobnych i powikłanych — dopiero wtedy, kojarząc piąte przez dziesiąte, w dziękczynnem uniesieniu całowałem ci ręce. Trzeba było splotu fantastycznych okoliczności —

despotyzm Twego ojca, przez co uprzykrzył Ci się pobyt w domu rodzicielskim, niepojętej klauzuli w testamencie Twej matki, który przekazywał Ci pokaźny majątek, o ile wyjdziesz zamąż przed dziewiętnastym rokiem życia — aby wypadkową tego zbiegu wypadków stał się nasz ślub.

Stało się to wszystko w tak błyskawicznem tempie, że okres ten został mi w pamięci, jako kilka tygodni oszołomienia, niby po tęgiej flaszce burgunda. Niedawno dopiero Albert, mój przyjaciel z czasów paryskich pokazywał mi w Berlinie moją własną depeszę z owych czasów: „Vermählt" — schreibe nach Genesung".

W ciągu naszych miodowych miesięcy byłem naładowany energją, jak świeżo nabity akumulator. Smakowałem w finezji Twej urody, przeżywając każdy nowy kapelusz, nową sukienkę, niby jeszcze jedno podkreślenie wszystkich czarów Twej kobiecości; jednocześnie składałem hołd drugiej kochance: malowałem Cię we wszystkich możliwych pozach i wszelkim sposobem — ołówkiem, węglem, pastelami, gwaszem — godzinami pracowałem nad wydobyciem od natury sekretu perłowego tonu Twego ciała, szczególnie rozkochany w malarskich efektach aktu. Szkiców tych za nic na świecie nie chciałem wypuścić na rynek. Dziś jeszcze — gdy przerzucam szuflady biurka — z rozrzewnieniem odnajduję te nerwowe nieudolne linje, które uwieczniały moją miłość. I doprawdy niem wiem, czego mi bardziej dziś szkoda: umiejętności ekstatycznego podejścia do modelu, czy młodzieńczych miłosnych uniesień.

Pierwszy raz zniechęciłaś mnie do siebie, gdym malując Twój portret przy oknie, próbował wydobyć na płótno głębię „rusałczanych" Twych oczu. Okazało się to niepodobieństwem: oczy wyrażały zwykłą nudę i zniechęcenie. Sprzykrzyło Ci się nietylko pozowanie, ale wogóle moje kapliczkowe malarstwo, nie dające się zwaloryzować żadną ceną. Miałaś w tym okresie dar zachwycającego milczenia. Milczenie to miało dla mnie taki wdzięk, jak urok przechylonego nad wodą narcyza — była w nim zaduma kwiatu, była w nim swoista treść, której mozolne odcyfrowanie stanowiło najczystszą rozkosz kochanka. Nie znam kobiety o subtelniejszej intuicji, niż Ty. I do dziś nie wiem, czy Twój skupiony spokój był podszeptanym przez dłuższy namysł manewrem, czy też wyczutą ścieżką, prowadzącą do najgłębszych tajników serca mężczyzny.

Dziś, z rozwagą dojrzałego człowieka muszę przyznać, że w gruncie rzeczy teroryzowałem Cię swą ekskluzywną, zaborczą miłością, a pozatem: nie byłem mężem z Twej „sfery". Zbyt długo czekałem na Ciebie, i zbyt wiele w Tobie odnalazłem, bym mógł nie drżeć z obawy przed utratą tak bezcennego skarbu. Z Tobą zaś było inaczej — rola Beatrycze jest przyjemna, ale nie na codzień. Widzieć zachwyt w oczach mężczyzny — to miłe pogłaskanie kobiecej próżności, ale... są kobiety, mniej przez los obdarzone, które doznają tej satysfakcji w sposób zwielokrotniony, odczytując ten zachwyt w oczach nie jednego, a wielu mężczyzn. I co najważniejsze, to tajemnica, której nigdy nie potrafiłem rozwikłać: czy Ty masz usposobienie z natury chłodne, czy też poprostu nie kochałaś mnie nigdy?

Wiele przyczyn zewnętrznych złożyło się na ukształtowanie naszych stosunków. Pani Lili lubiła śliczne szatki, a na śliczne szatki trzeba było dużo pieniążków. Dopóki pani Lili była panną Lili, surowy „starszy pan" bez protestu wypełniał zachcianki jedynaczki. A pan Tadeusz miał wygórowaną ambicję i nie chciał z jednej strony, by ukochana żonka w czemkolwiek obniżyła stopę życiową, z drugiej zaś strony nie mógł pozwolić, by topniał spadkowy mająteczek lub by ktokolwiek zzewnątrz zasilał nadwątloną kaprysami szkatułkę... A tymczasem akty, portrety i szkice, z manjackim uporem powtarzające tę twarz, ramiona i piersi spoczywały w zazdrośnie strzeżonej tece i nie nadawały się do sprzedaży. Więc pieniążków nie było. Zagadnienie natury ekonomicznej wywołało pierwsze niedokwasy w życiu rodzinnem. Moje dotychczasowe potrzeby były tak skromne — wiedziałaś o tem — że zarobki z lekcyj rysunków w żeńskiem gimnazjum, stypendja i sprzedany od czasu do czasu obrazek, pozwalały mi poprostu nie pamiętać o powszedniej stronie życia. Byłem znacznie lepiej poinformowany co do dat narodzin poszczególnych malarzy Quatrocentta, niż co do wysokości napiwka, jaki wytworny pan „ze sfery" powinien zostawić kelnerowi w eleganckiej restauracji. Umiejętności tych nabierałem dopiero przy Tobie i dziś szczerze Ci mogę powiedzieć, że zarówno nauka jak i jej rezultaty, do których przywiązałaś tyle wagi, stawały mi kością w gardle. Nudziła mnie atmosfera kobiet, które nie robią nic innego, tylko ładnie lub brzydko „wyglądają".

Dziś dopiero pozwalam sobie na luksus szczerości wobec Ciebie. W okresie naszego małżeństwa tak bardzo pochłaniała mnie uwaga, ustawicznie skoncentrowana na Tobie, byłem wstanie tak wciąż zdwajanego napięcia, tak w skrytości ducha truchlałem na myśl o możliwości utraty mego niczem niezasłużonego szczęścia — że, właściwie mówiąc, sam proces „bycia twoim mężem" całkowicie i niepodzielnie wypełniał mi życie. Wtłaczana w ramy Twych przyzwyczajeń i upodobań, indywidualność bez buntu napozór przystosowywała się do wymagań Twojej osoby, płacąc dopiero po pewnym czasie daniną — z malarskiej bezpłodności. Lekarstwo na dręczący kryzys w mej artystycznej karjerze, znów podszepnęła Ci niezawodna kobieca intuicja. Tyś to przecież podsunęła mi przerzucenie się w dziedzinę sztuki stosowanej. Zaczęło się od projektów na lampy i szale, skończyło na dekoracyj wnętrz, przyczem pokaźną ilość czasu i fantazji pochłonął dział ilustracyj i reklam.

Za jednym zamachem został rozstrzygnięty i problem natury ekonomicznej.

— Tadek nie zna się zupełnie na interesach — mówiłaś — muszę zamiast niego podpisywać kontrakty, inaczej przedsiębiorcy wyzyskiwaliby go niemiłosiernie.

Istotnie, niemą admiracją podziwiałem Twój zmysł spekulacyjny, twoją obrotność i szybką orjentację w dziedzinie skomplikowanych rachunków. Z pewnością bez Ciebie nie dałbym sobie rady w tym zawiłym gąszczu — oczywiście, o ilebym się w nim znalazł, co nie leżało na linji ani moich zamiarów, ani uzdolnień.

Mój pendzel stracił dawną bujność i żywiołowość — kolorystyczna wrażliwość stępiała. Za to pracowite z początku projekty nabrały polotu i śmiałości, i — co najszczerzej Ci wyznam — pewnej blagi. Wtedy osiągnęły maksimum powodzenia i dzięki Twoim zasługom, mocno podskoczyły w cenie. Stałem się popularny, a co zatem idzie tak zawalony zawsze terminową robotą, że miałem czas tylko na przełknięcie obiadu z Tobą, śpieszne, mężowskie ucałowanie Twej łapki i znów zmęczony zabierałem się do roboty.

Więc cóż dziwnego, że wtedy zaczęłaś się nudzić na dobre? Ze mną — przyznaj! — było Ci nudno tylko trochę, bezemnie stało się zupełnie nieznośnie. A nuda nie jest sprzymierzeńcem zapracowanego męża, gdy żona, na domiar, jest niepospolicie piękna...

Nie mam pewności, czyś mnie zdradziła. I nie stoję o to wcale.

Przyzwyczaiłem się, wracając do domu, spotkać u Ciebie coraz to innych ludzi. Z początku żarł mnie niepokój, ale Twoje niezmącone zachowanie, jednakowe wobec kobiet i mężczyzn, Twoje spojrzenie zawsze krynicznie czyste były mi rękojmią równowagi ogniska domowego. Ostatecznie, przy Twojem upodobaniu do zabaw i przyjemności nie mogłaś wyrzekać się wszystkich w oczekiwaniu na towarzystwo małżonka, który w datku nie podzielał gustów i potrzeb towarzyskich — nazywałaś mnie przecież „niedźwiedziem".

— „Rozdzielają nas ludzie niedobrzy, i dobrzy ludzie, i Bóg" — jak mówi poeta. Od kiedy datuje się coraz bardziej pogłębiająca się luka w naszym stosunku, i dlaczego Twoją urodą, podkreślana jak brylant wspaniałą oprawą (na którą, chwała Bogu, już nie brakowało pieniążków)... i jak brylant promienna przestawała podnosić stan mego napięcia wewnętrznego — dlaczego, jednem słowem, niby rdza, zobojętnienie podcinało młodziutkie pędy naszego szczęścia — tego, z ręką na sercu, nie wiem.

Jedno podejrzenie, do dziś niewypowiedziane, dręczy mnie oddawna. Jest to szczegół pewnego wieczora: wychodziłm z domu o godzinie 9-ej wieczorem. Leżałaś w łóżku z męczącą migreną. Pamiętam zapach cytryn i mocnej wody kolońskiej. Wracałem z konferencji z architektem około godziny 2-ej w nocy. Przypomniałem sobie, że — ta nieporadność dziecinna w codziennych drobiazgach była Twym szczególnym wdziękiem: nie umiałaś sama nakręcić zegarka — moim obowiązkiem było wykonanie tego drobnego zabiegu. Na palcach wszedłem do Twego pokoju. Spałaś — ale zegarek był już nakręcony...

Jest to jedyna poszlaka, której nie miałem odwagi badać.

Twój wyjazd zagranicę, dla poratowania zdrowia — znów nie wiem jak — powoli przekształcił się w długą rozłąkę. I ja nie jestem wobec Ciebie bez grzechu... Gdym wreszcie wybrał się by Ciebie odwiedzić, po drodze zahaczyłem o Drezno. I tam tak się upiłem prawdziwą sztuką, żem z dnia na dzień odkładał podróż do Ciebie. Przyznaję: zbladł mi Twój obraz, zmalał, stał się nieważny w porównaniu z rozkoszą znów odzyskanego malarskiego patrzenia.

Przyjechałem do Paryża na dwa dni — i tych dwóch dni było mi za dużo... Uderzyła mnie Twoja obcość. Byłaś rozbawiona i ożywiona, jak nigdy dotąd, otoczona szeregiem ludzi, którzy mówili z Tobą, skrótami, Tobie tylko wiadomemi, jak w obcym języku. Był to początek Twej karjery filmowej: „pozowałaś" i „nakręcałaś" przez cały dzień w studio, a wieczorem paliły Cię oczy od światła jupiterów, byłaś apatyczna i znużona. Nie mogę się skarżyć na jakieś uchybienie w stosunku do mojej osoby, przeciwnie, starałaś się być ujmująco grzeczna, a że mimo wszystko wyczuwałem ten wysiłek wykraczania ponad poprawność, należy kłaść na karb mego nazbyt czułego aparatu odbiorczego. Z właściwą sobie subtelnością zakomunikowałaś mi oględnie, że gaża filmowa aż nadto wystarcza na utrzymanie... Jednem słowem zwolniłaś mnie z obowiązków małżeńskich.

Najbardziej boli mnie to, że działo się to wszystko właśnie w Paryżu. Gdy przyszła chwila pożegnania, ogarnięty wzruszeniem, ująłem cię ciepło za rękę:

— Chciałbym Ci coś powiedzieć...

Odpowiedziałaś cicho:

— Nie trzeba mówić. Napiszę ci list.

Dlaczego ten list nie przyszedł nigdy, Lili?...

Siedzę na mojej starej studenckiej mansardzie, tu mieszkam jak pustelnik i nikt mi nie zarzuca, że ciskam niedopałki na podłogę, że na książkach i porzuconych płótnach zebrał się kurz, i nikt się nie troszczy, czy i kiedy jadłem obiad. Jako dokument mej samotności, na wieczną rzeczy pamiątkę pozostał Twój portret. Pod godłem „Tęsknota" otrzymał wczoraj Grand prix w Pryżu.

Dziwnym zbiegiem okoliczności i portret i model znajdują się w tem samem mieście. Ci, którzy Cię zobaczą zaklętą w statyce pozy na płótnie obrazu, będą mogli w pierwszem lepszem kinie zobaczyć „wiośnianą" i „porywającą" Lilianę Annith, i porównać doznane wrażenia.

Szczęśliwsi odemnie...

Ja nie ujrzę Cię tak prędko... Zawcześnie i — zapóźno...

W okno zagląda świt — całą noc przegadałem z Tobą.

A teraz trzeba list włożyć do kopety, zalakować i wysłać do Ciebie, w daleki świat. Myślę, że będziesz czytała te kartki w aucie, jadąc na próbę — niecierpliwie przerzucając stronice, jak w nudnej powieści, — albo w wytwórni, gdy fryzjer będzie szminkował Ci twarz i będziesz sykać gniewnie, gdy gorące żelazko przypiecze Ci lok, albo gdy któreś słowo w moim liście wyda Ci się zbyt sentymentalne.

Albo też może pomyślisz z tym czarującym zagadkowym uśmiechem, który doprowadził mnie ongiś do szału:

— A może pokazać ten list naszemu reżyserowi — może z historji naszego małżeństwa dałby się wykroić scenarjusz — przyzwoity, kameralny scenarjusz, o którym Tadek pisał na początku swej sążnistej epistoły?

Trzeźwa jesteś, moja mała Lili...

Lecz wobec tego podejrzenia, wiesz co teraz zrobię: wezmę mój list, „sążnistą epistołę" zapalę świecę i wolniutko, stroniczka za stroniczką, spalę nad płomykiem świecy — — —

— Jak w kiepskim filmie — pomyślisz z niesmakiem.

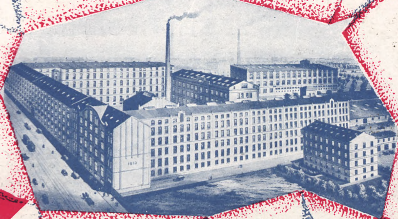


Lili Damita *Fot. Paramount*

Za Redaktora: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-KA. Sp. z o. o.
Kierownictwo: Bolesław Karniszyn.

Redakcja i Administracja: ul. Marszałka Focha 2, tel. 72-85 i 525-85. Konto P. K. O. 16190.
Prenumerata półroczna (6 egzemplarzy) zł. 6.
Cena ogłoszeń: 1 strona zł. 1.000; 1/2 strony zł. 550; 1/4 strony zł. 300. Ogłoszenia wielobarwne o 50% drożej.

Część nakładu wydrukowano na wykwintnym papierze kredowym. Klisze jedno i wielobarwne i druk Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61.



Drukowano na papierze kredowym Tow. Akc. J. Franaszek, Warszawa.

SUCHARD



100 LAT

PRZODUJE NA CAŁYM ŚWIECIE

CZEKOLADA

SUCHARD

KAŻDY JEJ GATUNEK
ZADAWALNIA NAWET
NAJWYBREDNIEJSZYCH

CZEKOLADA-KAKAO

KLISZE JEDNO I WIELOBARWNE I DRUK ZAKŁ. GRAF. B. WIERZBICKI I S-KA, WARSZAWA, CHMIELNA 61.
Drukowano na papierze kredowym Tow. Akc. J. FRANASZEK, Warszawa.